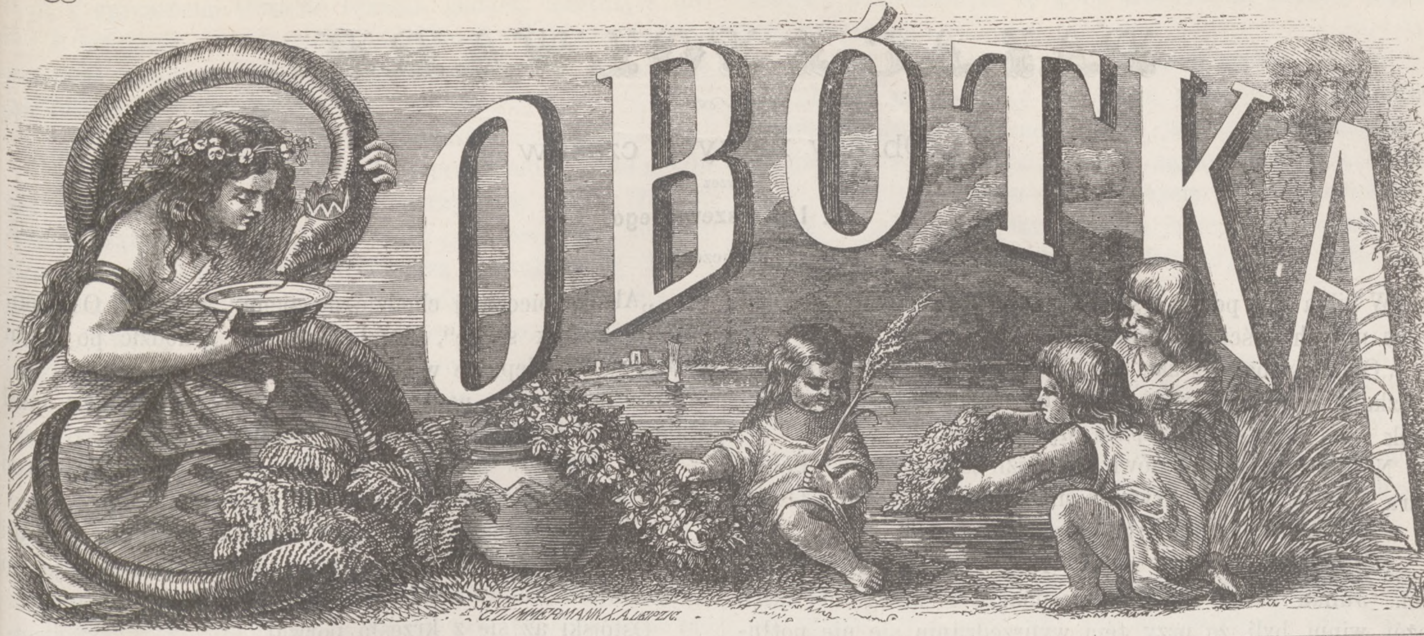
Nr. 26. Poznań, dnia 24. Czerwca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW!

Rozpoczynając przed blizko trzema laty wydawnictwo Sobótki, wypowiedzieliśmy iż głównym jéj celem będzie szerzenie oświaty opartéj na podstawach narodowości i religii. Z radością powitano naszą Sobótkę, z zadowolnieniem widział ogół nasze usiłowania ku temu zmierzone celowi. Poparci stosunkowo liczną prenumeratą staraliśmy się, by pismo nasze, o ile siły nasze zdołają, odpowiedziało wymaganiom ogółu. Dość zajrzeć na spis imion autorów których prace zamieściliśmy i zamieszczamy, dość kilkanaście przeczytać artykułów umieszczonych w Sobótce, a każdy przekona się, iż pismo to **jest dla ogółu.**

Z nadchodzącym kwartałem rozpoczynamy nową powieść, zamieścimy artykuły o innych dzielnicach kraju, prace o kwestyach bieżących, prócz innych. To téż odzywamy się do naszych abonentów, aby zechcieli **protekcyą** swą poprzeć nasze usiłowania **i aby każdy dotychczasowy abonent w kole swych znajomych przysporzył nam kilku nowych abonentów,** a wtedy będziemy mogli postawić Sobótkę na szczyt, do jakiego doprowadzić ją jest naszem usilném życzeniem.

W końcu dodamy jeszcze, iż dla abonentów Sobótki nabyliśmy znaczniejszą liczbę exemplarzy:

1. **Encyklopedyi podręcznéj,**

mającéj wychodzić od 1 Października w 2 tomach (około 120 arkuszy);

2. **Pism J. I. Kraszewskiego,**

rocznie około 20 tomów.

Obydwa dzieła odstępujemy abonentom Sobótki po cenie zniżonéj **dopókąd liczba zamówionych exemplarzy starczy,** stósownie do ogłoszenia umieszczonego na ostatniéj stronnicy.

Przysełający prenumeratę za późno nie zechcą nas winić, jeżeli dzieł tych po zniżonéj cenie nie otrzymają.

Wydawnictwo Sobótki.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie.)

W kilka dni potém Ostójski zaprosić przyszedł na obiad swych miłych gości ze dworku.

„Obiadek będzie skromny, szlachecki... ale barszczyk z uszkami robi kucharka... jak nie można lepszy... a kieliszek wina ze starego zapasu się znajdzie...“

Nie można było odmówić — poszli tedy wszyscy. Panna Klara z Zosią same nakrywały śmiejąc się do stołu, a Ostójski w wyśmienitym humorze talerze przynosił.

Na tę scenę wesołą wszedł Kanonik z siostrą i Julianem. Julian zaraz rzucił się pomagać i szczególnéj łasce Bożéj winni byli że przy tém wyprzedzaniu się nie potłuklii nic.

Żadna w świecie najwykwintniejsza uczta pod błogosławieńszą wróżbą rozpocząć się nie mogła. Zosię los posadził przy Julianie, szczebiotała jak za dobrych czasów.

W pół obiadu, Ostójski podniósł głowę z nad talerza i pyta:

„A co tam, panie Julianie, czy nie zapadła ostateczna decyzya względem pańskiéj podróży? dokądże, na wschód, na zachód, północ czy południe?“

„Niech pan zgadnie“, odparł Julian, „w saméj istocie wczoraj stanowczom sobie powiedział co mam czynić... niech pan zgadnie!“

„Otóż go masz!“ zaśmiał się stary, „jak ty chcesz żeby stary odgadł młodego — to nie jest w naturze rzeczy. My postępujemy rozumnie, wy szalenie, jakże ja mogę odgadnąć jakie ci się głupstwo zrobić podoba?“

„Ale czyż koniecznie głupstwo?“ powoli zapytał Julian.

„Prawie nieuchronnie!“ westchnął Cześnikiewicz, „na to jesteś młody. Młodość daną jest człowiekowi na to, ażeby popełnionych w ciągu jéj niedorzeczności reszty życia żałował.“

Kanonik się roześmiał. „A toś asindziéj trafnie powiedział.“

„Tandem, panie Julianie, ja nie odgadnę.“

Julian miał oczy w talerz spuszczone.

„Jeszczem nawet ani matce ani wujowi nie przyznał się“, rzekł, „a tu mnie pan Cześnikiewicz zmusza do publicznéj spowiedzi.“

Matka w istocie z obawą wielką spoglądała na syna, Kanonik z ciekawością.

„Ja“, korzystając z milczenia wtrąciła panna Klara, „ja to znajduję naturalném wielce i młodości właściwém, iż ona za ideałami goni i

„ściga niedoścignione“

i nie dziwiła bym się gdyby doktor Julian, choćby na księżyc wzlecieć zapragnął... Wszak poeta nasz mówi:

Młodości, ty nad poziomy...

„Ale bezpieczniéj chodzić po ziemi“, przerwał Ostójski.

„I ja tak sądzę“, rzekł Kanonik, „chodzić po ziemi a oczy mieć wlepione w niebo.“

Zosia patrzała na Juliana, który w téj chwili oczy miał wlepione w talerz — zdawał się zakłopotany.

„A no, mów pan co poczynasz“, rzekł Ostójski, „i ten kieliszek wypijemy za sukcesa jego przyszłe...“

„Zawiodę państwa nadzieje“, odezwał się doktor powoli i jakby wahając... Myślałem długo, długo — i — nająłem od Drewnowicza dworek w miasteczku.“

Ostójski aż się z krzesła porwał.

„Możesz to być?“

Kanonikowi i matce łzy się w oczach kręciły... oczy ich przez nie patrzały na Juliana dziękczynnie.

„I niceś nam nie powiedział“, szepnął Kanonik.

„Wiedziałem że matka i kochany wuj życzyli sobie tego, zostanę i zostanę tu z przyjemnością wielką...“

„A! niechże ci Bóg płaci!“ krzyknął Ostójski, „i za zdrowie twoje!“

Panna Klara patrząc na zarumienioną bardzo Zosię usta satyrycznie zagryzła.

„Ale czyż pewnie to?“ rzekł gospodarz.

„Tak pewnie, żem z Drewnowiczem na lat trzy kontrakt podpisał i zadatek mu dałem...“ odparł Julian. „Dworek jest trochę za obszerny“, dodał, „ale Kanonik, mama, ja... i zresztą doktor musi mieć gdzie przyjmować pacyentów... Ogródek wcale miły i ładny, para lip starych które nam probostwo przypomną...“

Zosia milcząc piła wodę, widocznie było jéj gorąco. Obiad się kończył, wszyscy wstali, Kanonik odmówił modlitewkę, potém przyszedł do Juliana i milcząc go w głowę pocałował. Ostójski wyściskał go okrutnie, matka poszła w kątek aby łez nie pokazywać. Jakoś błogo było wszystkim i dobrze i stali tak w ciszy jakby anioł pokoju przelatywał nad niemi.

Panna Klara tylko może z tego braku szczytnych prądów w młodzieńcu nie była zadowolnioną. Nalewała czarną kawę z minką dziwnie szyderską.

Zaczęto naturalnie szeroce rozprawiać o urządzeniu dworku, o kupieniu skromnych sprzętów, o słudze, o ogródku, nawet o potrzebie bryczki i konia dla młodego doktora, po którego nie każdy i nie zawsze konie przysyłać może.

Przeciągnęło się to aż pod wieczór, a miłą rozmowę przerwało jeszcze przybycie, raczéj wtargnięcie aptekarza pana Drugdy, który dowiedziawszy się od Drewnowicza o wesołéj nowinie spieszył wyrazić swe sentymenta i radość jaką mu to sprawiało. Aptekarz, który niezmiernie rzadko wychodził ze swéj pracowni, był człowieczek mały, okrągły,

łysy, z ogromnemi tłustemi rękami, gaduła, facetus, a dobry z kościami. Powszechnie go lubiono. Z progu oczyma poszukał Juliana i rękę przykładając do czoła, świecącego jak bilardowa kula, zawołał:

„Submituję się mojemu generałowi!"

„Panie dobrodzieju!" dodał po przywitaniu, „nie mogło nic szczęśliwszego dla okolicy zdarzyć się nad to żeś się doktor szanowny dla niéj poświęcił. Ale praktyka! zobaczy pan, będzie! Nam trzeba było lekarza... gwałtownie. Tylko, generale dobrodzieju", rzekł głos zniżając, „obyście się nie trzymali nowéj medycyny! Co to dziś warto... zapisze ósmą część grana trucizny i pół kwarty wody! Basta! Dawniejsze recepty proszę zobaczyć, aż miło! Trzydzieści ingrediencyi, jedna osobliwsza od drugiéj, recepta pół łokciowa, rachunek takiż, a chory gdy wyzdrowiał nie wiedział któremu był winien zdrowie z trzydziestu w jego żołądku goszczących medykamentów."

Śmiano się znowu. Drugda wypił kieliszek wina i zaofiarował się, kochanemu doktorowi zaraz tanio mebelki dostarczyć... kochany doktór jednak już był w drugim pokoju z Zosią i — domyśleć się łatwo — że się jéj oświadczył.

Powieść mogłaby na tém być skończona, bo łez i uszczęśliwienia Ostójskiego odmalować anibyśmy się kusili — gdyby nie jedna okoliczność wcale szczególna, która na charakter poczciwego ojca Zosi, rzuca niespodziane światło. Wszyscy go mieli za nader prostodusznego szlachcica, który się nigdy na przebiegły figiel zdobyć nie mógł. Tymczasem, proszę tylko posłuchać, co ten z cichapęk zmalował.

Po oświadczeniu się Juliana, po zaręczynach, po upłakaniu się tych którzy ze szczęścia płakać muszą, naznaczono dzień wesela na d. 24 Czerwca. Wszyscy byli tego zdania żeby uroczystość odbyła się skromnie, cicho, w maleńkiem kółku rodziny i najbliższych przyjaciół. Julian i Zosia znajdowali że wbrew niedorzecznemu obyczajowi europejskiemu po ślubie karczmy objeżdżać i wspomnienia pierwszych chwil szczęścia siać po gościncach byłoby niedarowaną lekkomyślnością.

Na święty Jan więc w bardzo szczupłém gronku zabawiano się u Ostójskiego, który z obiadem jednak wystąpił co się zowie. Kucharza zapożyczył z sąsiedztwa, sprowadził ryb i zwierzyny i wina i różnych przysmaków o wiele więcéj niż było potrzeba...

Posadzono państwa młodych obok siebie, a — jakgdyby po raz w życiu pierwszy z sobą mówili — zagadali się że cały świat im z oczów zniknął. W tém stuk o kieliszek... „Proszę o głos", pan Cześnikiewicz wzruszony wstaje z podniesionym do góry wiwatowym, pełnym szumiącego szampana...

Uciszyli się wszyscy... Ostójski pomyślał.

„Niech ja pierwszy za wasze zdrowie wypiję", rzekł powoli wzruszony mocno, „niech ja was pobłogosławię na długie i szczęśliwe życie pracy, zgody, pokoju i cnoty... Ja — ojciec... zabrałem głos bo razem z błogosławieństwem muszę w pokorze wyznać grzech jakiego się dopuściłem... Fałsz popełniłem, który mi pan Bóg przebaczy tylko wówczas, jeśli wy szczęśliwi będziecie."

Uderzył się w piersi.

„Doniu moja, Zosieczko — Julku, synu mój najdroższy... p e c c a v i! skłamałem! Nigdy żaden bankier mi nic nie ukradł, caluteńki mój pugilares nienaruszony leży w komodzie w potajemniku... Ale gdyby Zosia nie była ubogą, ty byś przez fałszywy punkt honoru nudził ją, pókibyś się nie dorobił fortuny. Cóż było począć, musiałem łgać, i jakoś mi się szczęśliwie udało!"

To mówiąc krzyknął — Vivat! Julian zbladł, Zosia pociągnęła go z sobą aby się ojcu razem do nóg rzucili...

Panna Klara dostała mdłości i palpitacyi serca. Kanonik płakał, matka Juliana płakała, goście śmieli się i ściskali...

Co najdziwniejsza, iż poczciwy ów safanduła Ostójski tak jakoś dobrze to ukartował, tak naturalnie rolę swoją grał, tak wzdychał, tak się krzątał że żywa dusza, ani córka, ani siostra, ani nikt nie domyślił się owego pobożnego kłamstwa, owéj pia f r a u s, jak ją zwał ks. Kanonik. W czasie gdy Ostójski był w Berlinie trafiło się właśnie podobnego rodzaju bankructwo, mówiono o niém wiele, może być że ono mu poddało ową myśl ogłoszenia swego upadku.

Że Zosi do spisku nie przypuścił, było rzeczą bardzo naturalną, bo jéj uczucie nie dozwoliło by było do takiego środka uciec się dla przełamania dumnego oporu Juliana; panna Klara miała mu za złe iż jéj nie zaufał. Ostójski śmiał się.

„Co państwo prawicie, żeby była mysz o tém wiedziała tylko... nie byłoby się udało, cała sztuka żem nikogo do tajemnicy nie przypuścił."

Aptekarz Drugda mający ładną córkę i niejakie dalekie plany na doktora, znajdował że bądź co bądź, Ostójski sobie postąpił bardzo — niedelikatnie.

Na biedę nie mogę téj ślubem zamykającéj się powieści, skończyć tradycyjną formą naszych starych bajek, bom na weselu nie był i nie piłem nic... gdyż Ostójski nikogo obcego nie prosił.

(Koniec.)

NA TUŁACTWIE.

Luźne kartki z teki J. Gordona.

(Ciąg dalszy.)

Patrząc na jéj zafrasowaną młodość, nie mogłem się powstrzymać od żalu. Pochyliwszy się tedy, szepnąłem jéj po arabsku:

„Nie poddaj się tak rozpaczy, biedne dziecię! Zastosójmy się raczéj do okoliczności, kiedy nie możem inaczéj..."

„Nie możemy zmienić losu", odrzekła, „ale możemy opłakiwać ubiegłe szczęście nasze."

„W tak tkliwym wieku... i miałażby twoja radość zniknąć bezpowrotnie?...“

„O! tak... lecz jakimże to sposobem chrześcianin przemawia do niewolnicy?“

„Chrześcianin przemawia do niewolnicy, jakby mówił do samego sułtana, bo chrześcianin jest odważny i dobry; nie lęka się on Ab-del-Kadera, a chce pocieszyć osierocone dziewczę, szlochające i strapione... chociaż on tak samo nieszczęśliwy.“

„Ale chrześcianin obaczy jeszcze swoich?“

„Któż to wie?“

„Chrześcianin przynajmniéj żyje w nadziei, gdy niewolnica bez nadziei przejdzie do tych, co ją kupią. A tak mi było dobrze w namiocie, zkąd uwieźli mię jeźdźcy podczas, gdy moi gospodarze popędzili bydło w góry. Teraz cóż mię czeka? Będą mię bili, każą sypiać przy koniach, nie dadzą kuskusu (rodzaj knedli), muszę nosić haik (zarzutka), brudny i podarty. Chrześcianowi jest lepiéj!...“

Dziewczyna zalała się łzami.

„Ale zważ moja mała, że i on pozostawił w chacie starego ojca i siostrę mu drogą. Czyż myślisz, iż się tem nie smuci, że nie płacze często wśród nocy, gdy Arab zasypia? Bo i pocóżby miał okazywać bezdusznym swą boleść?... Powiedz serce, czy jadłabyś, gdybym się podzielił z tobą rodzenkami?“

Skinęła głową.

Podałem jéj garstkę, spojrzała na mnie z podziękowaniem, a zakrywszy główkę haikiem, poczęła spożywać ukradkiem.

Niezadługo naczelnik szczepu Garabas wszedł do naszego namiotu. Był on zaszczytnie przyjętym gościem w obozie Sułtana, gdyż przedstawił mu się z świeżo uciętą głową żołnierza francuzkiego. Skoro tylko rzucił okiem na młodą murzynkę, uśmiech zadowolenia przebiegł po jego twarzy; zbliżywszy się do niéj, kazał jéj stanąć.

Murzynka podniosła się z siedzenia, a on badawczym wzrokiem oglądał ją dokoła, nie znalazłszy zaś żadnéj ułomności ciała:

„Pięćdziesiąt buczu!“ (1500 Złp.) zawołał.

„Ośmdziesiąt buczu!“ odpowiedziano.

„Tyle nie warta.“

„A czyś widział kiedy taką chwacką murzynkę?“

„No! otwórz gębę,“

Niewolnica była posłuszną.

„Patrz! co za śliczne zęby... nie brak ani jednego.“

„A teraz przemaszeruj nam trochę!“

I dziewczę zaczęło stąpać, obcierając łezki.

„Co za biedna, a jaki krok pewny! Jest jeszcze panną.“

„Cicho! dam ja ci tu szlochać! czy widzisz tę trzcinę, bekso?...“

„Ośmdziesiąt buczu, ośmdziesiąt!“

„Sześdziesiąt! bo nie jest dość silną, nie zdoła wynosić nawozu ze stajni.“

„Ale za dwa lata dźwignie nawet ciebie z końmi i namiotem. Cena stała ośmdziesiąt buczu.“

„Siedemdziesiąt i basta!“

„Nie można.“

„Masz je.“

Garabas zapłaciwszy za ofiarę, kazał jéj pójść za sobą. Opuszczając namiot, przesłała mi pożegnanie łzawemi oczyma. Nigdy tych oczu nie zapomnę.

Wśród drogi zatrzymali się przed namiotem Ab-del-Kadera, gdzie wstąpił Garabas po pieniądze za głowę jeńca. Po chwili wyszedł i oboje opuścili obóz.

Patrzyłem na odchodzącą, jak mogłem najdłużéj, lecz drzewa i krzewy zasłoniły jéj nadobną postać. Wtedy rzuciłem się smutny i więcéj jak zwykle cierpiący na płaszcz wojskowy, rozpoztarty na ziemi...

Wiecie resztę... dobranoc wam koledzy!

(C. d. n.)

KOBIETY NERWOWE

napisał

Dr. Sfinks.

(Dokończenie.)

Przypadłości, przez jakie się owa zbyteczna drażliwość refleksyjna objawiać może, są jak już wyżéj napomykaliśmy, nader rozmaite. Podobne są one w swych symptonagdach do innych chorób. Podobnemi hysterycznym chorobom są n. p. epileptyczne lub do letargu podobne kurcze, brak tchu i bezwładność muszkułów oddechowych, ściśnięcie krtani, (tu należy znana powszechnie „hysteryczna kula“ w gardle, Globus hystericus) przypadłości paraliżowe, omdlenia aż do śmierci pozornéj, ubezwładnienie członków pojedyńczych, często nader uporczywe, a późniéj jednak same ustępujące, nieczułość skóry, często na wielkich przestrzeniach, duchowa ekstaza i stan somnambuliczny, bóle w najrozmaitszych organach, tak że najbieglejszy nawet lekarz może być wątpliwym, czy nie powstaje n. p. wrzód w żołądku, zapalenie błonki piersiowéj lub brzusznéj, uporczywe, kurczowe napady kaszlu i do suchot prawie podobne bicie serca i inne przypadłości sercowe, przybierające pozór organicznego błędu sercowego i t. p. Aby przypadłości te hysteryczne, a mianowicie najczęstsze z nich kurcze hysteryczne rozróżnić od innych podobnych im rzeczywistych chorób n. p. rzeczywistéj epilepsyi, rzeczywistych chorób piersiowych, uważać na to należy, że u nich rzadko kiedy przytomność zupełnie znika, że już w pierwszych zaraz oznakach napadu widać przytomność i zastanowienie; chora n. p. stara się upaść z gracyą, oczy drażliwe pozostają na światło, a nos na wonie; dla tego zwykle dla skrócenia napadu kurczowego trzymają się pod nosem przypalone pióra; że mimo ogólniejszego kurczu pojedyńcze muszkuły posłuszne jeszcze są woli, że symptomata często się zmieniają, bez tak regularnego następstwa jak w po-

dobnych chorobach u niehysterycznych osób, że dziś przychodzą kurcze, jutro bóle nerwowe, że usposobienie umysłu, powietrze, dyspozycya ciała nader stanowczego są wpływu na powstanie i przebieg tych napadów — i że wśród tego wszystkiego chora całe dnie, tygodnie i miesiące cieszyć się może wybornem zdrowiem. Każdy zresztą biegły bie mogą. Z téj przyczyny lekarz musi posiadać wielką cierpliwość w przysłuchiwaniu się ich opowiadaniom. Jeżeli słyszane skargi spisuje codziennie, to prędko dojdzie do przekonania, że wciąż nowe przybywają i że są niestałe. Jeżeli w ogóle wedle zdania starego wieszcza zmienność jest charakterem niewiasty (varium et mutabile semper est



Pomnik Kazimierza Wielkiego w Bochni.

lekarz pozna bez względu na hysteryczne napady, że jest bardzo drażliwą, przepełnioną uczuciami chorobliwemi, wzruszeniami umysłowemi, że jest skłonną bardzo do obszernych opisów swych rozmaitych cierpień. W rzeczywistości jest też wywnętrzenie się a nawet wyszlochanie najlepszym środkiem, przez jaki pacyentki podobne ulżyć sofemina), to niewiasty hysteryczne posiadają ten przymiot jeszcze w większym stopniu.

Jak się leczy hysterya? Znika ona zwykle sama w dojrzałym wieku t. j. około 45 do 50 roku życia. Jeżeli niewiasta wchodzi w stósunki życia, zmuszające ją do czynnéj i wyczerpującéj pracy, lub jeżeli w zgodnem małżeństwie

znajduje się otoczoną, widzi liczną dziatwę, zaczem nastaje konieczność bezustannego i codziennego starania się o wychowanie, wyżywienie, odzież i utrzymanie gospodarstwa, natenczas napady nerwowe ustają. I na krótszy przeciąg czasu ustają takowe n. p. jeżeli pacyentka odprawia podróż w ogóle, lub podróż do wód, jeżeli ją zajmują nadzwyczajne wypadki, jeżeli nowego przyjęto lekarza, jeżeli do nowego wprowadziła się pomieszkania lub w nową ubrała się suknią. Nadarzająca się częściéj sposobność wygadania się n. p. w towarzystwie przy kawie, lub ulżenia sobie przez kłótnią z służącą, przynosi również ulgę. Gdzie pewny organ pojedyńczy przez swą chorobę wywoływał owe napady nerwowe, tam znikają takowe naturalnie, skoro organ sam do zdrowego powraca stanu.

Kuracya lekarska téj niewieściéj słabości nerwowéj iść powinna za temi wskazówkami natury. Bacznie jednak zważać należy, czy czasem pewny jaki organ, mianowicie w systemie uterusowym nie jest chorym, a jeżeli tak jest, wyleczyć go. Trwa to zaś niekiedy kilka miesięcy, zanim zastarzałe cierpienia usunięte być mogą. A ponieważ wiele jest niewiast co koniecznym procedurom leczenia się poddać nie chcą, lub przynajmniéj rychło bardzo takowe znienawidzają, dla tego właśnie tyle jest hysterycznych cierpień, dokuczających nieraz przez większą część życia. W twierdzeniu tém nic nie ma przesadzonego. Przerwanie funkcyi kiszkowych wymaga również ciągłéj baczności i leczenia. Kobietom tak cierpiącym należy zalecać, aby po obiedzie przechadzały się z godzinę, lecz nie bez towarzystwa. Głównem jednak zadaniem i najwięcéj wpływającą kuracyą hysterycznéj niewiasty jest leczenie jéj moralne.

Dla tego starać się należy o to, by podobnym niewiastom nadać wewnętrzny hart moralny, odwagę do życia i energię woli, aby się nauczyły pokonywać uczucia chorobliwe i chorobliwą drażliwość a wstydzić wiecznego narzekania i lamentowania, co niekiedy kompletną staje się monomanią! Łatwiéj to naturalnie powiedzieć niż wykonać. Prosta rada: „ucz się panować nad sobą!“ nie wystarcza tutaj. Gdzie wewnętrzna próżnia jest powodem choroby, jeżeli niewiasta niezna innego sposobu, by się światu dać poznać, jak wiecznem chorowaniem i lamentowaniem, tam wszelkie zabiegi lekarza będą daremnemi. Jeżeli rzeczywiście chorobliwy stan utrzymuje cierpienie nerwowe, to wtenczas trudno ażeby chora panowała nad niem. Lecz u niewiast posiadających trochę hartu duszy, u niewiast, które tylko przez brak zatrudnienia lub zatrudnienie niestósowne stały się nerwowemi, tam konsekwentne napominania i wmawianie odwagi ze strony lekarza, posiadającego ich zaufanie, bardzo wiele mogą. A chociaż to ciężka praca, to jednak zdaje mi się być wdzięczniejszą a same pacyentki milsze niż hypochondryczni mężczyzni (odpowiadający hysterycznym niewiastom). Przedewszystkiem starać się trzeba dla pacyentki o regularne, praktyczne zatrudnienia w gospodarstwie lub uprawie ogrodu i kwiatów; dla pomnożenia ruchu zalecać można także, jeżeli cierpienia uterusowe tego nie zakazują, gimnastykę, pływanie, jeżdżenie na łyżwach, nawet taniec mały i konną jazdę. Lecz i duch musi się gimnastykować odpowiednio, czy to na niższym stopniu przez wygadanie się, żartowanie i śmianie, czy to w sferze wyższéj przez zajmowanie się sztukami, śpiewem przedewszystkiem, grą na fortepianie, malowaniem i rysowaniem krajobrazów na wolném powietrzu i t. p.; lub w końcu naukami przyrodzonemi, jeografią, astronomią, dziejami i t. p. Ale i w tém nie powinno być przesady. Fałszywy to zupełnie sposób jeżeli się pragnie powściągać kobietę od tego zajęcia strasznem mianem „uczonéj kobiety“, bo przy dzisiejszym stopniu wykształcenia wiele niewiast posiada zdolności do podobnych nauk. W pracy nad niemi znajdują błogie duchowe zadowolnienie. I studya językowe zasługują w tym celu na polecenie. Więcéj jeszcze podróże, które człowieka fizycznie i duchowo przerabiają i odmładzają i nową napełniają materyą. Jeżdżenie i drapanie się po skałach dla chorujących nie jest stosowne.

Głównem zawsze być powinno zadaniem by dla pacyentki takie wynaleźć zajęcie, któreby zadawalniało umysł. Praca zostawiająca światu lub rodzinie korzyść jest najstosowniejszą, bo utrzymuje człowieka ciągle w tém błogiem przeświadczeniu, że żadna chwila bezużytecznie nie uchodzi.

Z psychicznych również powodów koniecznem jest, aby lekarz miał zawsze na zawołanie środeczki uśmierzające, bo przez to utrwala zaufanie do siebie; zwolna téż tylko powinien przyzwyczajać do obywania się bez nich. Lekarz zaś jakiejkolwiekbądź szkoły musiałby być zgoła bez daru inwencyi i rutyny, gdyby nie miał umieć rozporządzić czémś zawsze nowém.

Z tych to przyczyn pochodzi wpływ wielki, jaki u takich chorych zyskała homeopatya. Pominąwszy myśl zwalczania nicości chorobliwych nicościami lekarskiemi (similia similibus), praktyka homeopatyczna ma to do siebie, że każdemu symptomatowi nadaje wielką wagę, i że dla każdego symptomatu osobny téż zawsze wynajduje środeczek, czego naukowy lekarz często zaniedbuje. Ponieważ zaś większa część przypadłości hysterycznych rychléj czy późniéj znika sama przez się, przeto pacyentka wierzy w środek homeopatyczny. Chociażby zaś i nowe wydarzyć się miały ataki, to znowu inny znajdzie się na to środeczek! I w ten sposób lata mijać mogą, zanim obie to sobie sprzykrzą strony. Homeopatya jest dla takich i wielu innych podobnych im chorób arcy dowcipnym wynalazkiem. Nie należy ona wprawdzie do medycyny naukowéj lecz do praktycznéj antropologii (zastósowanéj znajomości ludzi). Jest to sztuka obchodzenia się z ludźmi chorymi, pocieszania i durzenia ich. Lecz dopóki wszyscy ludzie nie będą rozsądnymi, dopóki dziewięćdziesięciu ze stu ulega więcéj wrażeniom umysłowym niż rozsądnym postanowieniom, dopóki niezliczona liczba chorych uważać będzie chorobę za nabytek zewnętrzny, któren cudem ma usunąć lekarski bożek — dopóty homeopatya tyle ma prawa co każda inna sztuka do wodzenia ludzi za nos. A podobnych sztuk nie mało dzisiaj jeszcze spotykamy. Kto zaś nie chce popaść w ich sieci, powinien baczyć na siebie samego i na własnych stać nogach!

LISTY POPULARNE O MUZYCE.

I.

Trudne to zaiste zadanie, dać wszystkim czytelnikom naszym, takim nawet, co żadnéj nie pobierali nauki w muzyce, tak jasne wyobrażenie o istocie i skutkach muzyki, aby wszyscy z lubowników stali się rzeczywistymi jéj znawcami. A jednak spróbujemy.

Co to jest muzyka?

Muzyka jest sztuką rozweselającą ucho tonami, rozczulającą serce, ożywiającą wyobraźnię rozmaitemi ideami i zatrudniającą rozum.

Jeżeli przypominacie sobie wrażenia, jakim ulegaliście przysłuchując się muzyce, to wydawać się wam może będzie definicya ta za wiele obiecującą. Mimo to jednak muzyka może i powinna wszystkie owe wywołać skutki i wywołała już je niejednokrotnie, o czém was przekonać mam nadzieję.

Wprzód jednak miejcie cierpliwość i pozwólcie abym wam przedstawił i objaśnił pierwsze początki muzyki. Rzecz to w naszych szczególnie czasach ważniejsza daleko, niż może sądzicie, i to nie tylko dla nieznawców lecz i dla niejednego artysty. Bo że głośni nawet artyści nie zdają się wcale już o tém pamiętać, co pierwsze początki muzyczne właściwie znaczą, do czego służą, dla czego zastósowane bywają, tego wszystkiego przytoczę wam zabawne przykłady. Nie zrażajcie się przeto, jeżeli ab owo zacznę lub przynajmniej od

głosu, tonu i dźwięku.

Jeżeli staniesz na rozległéj płaszczyźnie i wsłuchiwać się będziesz, to się przekonasz, że w naturze tworzy się coś co uderza o słuch twój. Wszystko co słyszysz, nazywa się w ogóle głosem. Nauka o głosie (Akustyka) która dawniej krótki tylko zajmowała rozdział w fizyce, stała się teraz ważną nauką. Mało jednak niestety dotąd muzyków wie coś o niéj. Każdy głos powstaje przez drgania (wibracye) ciał elastycznych. Drgania te udzielając się powietrzu tworzą fale głosowe uderzające o ucho. Cudowne to i sztucznie urządzone i obliczone narzędzie jest tego rodzaju, że każdy w obręb jego przychodzący głos ujmuje i podaje do wiadomości ducha i umysłu człowieka. Jak zaś nieskończenie rozmaitemi są głosy i jak rozmaite są skutki jego, każdy z nas przekonać się miał sposobność.

Wystawmy sobie n. p. rozdzierający ucho zgrzyt i łoskot wozu idącego po twardym bruku i czarujący śpiew słowika. Główną przyczyną tych różnych wrażeń jakich ucho nasze doznaje, jest rozmaity gatunek drgań. Są one albo regularne albo nieregularne; pierwsze w równy, drugie w nierówny po sobie następują sposób. Nierówno po sobie następujące przynoszą do ucha tylko szelest, za którym wykształcony umysł w muzyce się nie ubiega. Mimo to słyszeć się niekiedy zdarza sztuki muzyczne, które niczém innem jak szelestem nazwać musimy. A jednak, czemu ledwo podobna wierzyć, są ludzie co twierdzą, że taka muzyka ich zachwyca, uważając ją za wyższe objawienie sztuki. Rzut oka na prawidła początkowe akustyki przekonałyby ich że są w błędzie.

My co chcemy się muzyką zabawić, trzymajmy się drgań regularnych. Najbliższem ich znamieniem jest to, że je rozróżniać można (mierzyć).

Im wolniéj po sobie następują fale głosowe, tém niższym jest ton, im prędzéj, tém wyższym. Mogą one naturalnie i tak wolno i tak szybko po sobie następować, że ująć ich nam już nie podobna. Akustycy mówią, że co mniéj jest jak piętnaście drgań a przechodzi 30,000 w sekundzie, tego ucho ludzkie słyszeć już nie może.

Ilość używanych w muzyce tonów dochodzi do mniéj więcéj stu dwudziestu. Fortepiany najnowsze mają ich w 6 oktawach 72. Jeżeli je człowiek rozumnie używa i rozumnie słucha to wystarczą, by najdziwniejsze na sercu i duchu jego zrobić wrażenie.

Tony wielkiéj nabywają rozmaitości przez różność instrumentów. Jakże jest różny jeden i ten sam ton wydany głosem ludzkim lub przez skrzypce, flet, trąbę, waltornię i t. d. Tu jest miłym, tam nieprzyjemnym, tu cieńkim, tam grubym i t. d. W każdym instrumencie inny ma on charakter. Różnica ta w charakterze tonu nazywa się dźwiękiem (timbre). Nie rzadko słyszeliście mówiących: „śpiewak ten ma piękny ton.“ Jest to fałszywie; powiedzieć należy: „tony tego śpiewaka piękny mają dźwięk.“ Przyczyn rozmaitego dźwięku jednego i tego samego tonu na rozmaitych instrumentach nie odkryto jeszcze zupełnie. Tyle tylko wiadomo, że albo konstrukcya instrumentów lub grający na to wpływają. Złego dźwięku starego fortepianu nie zdoła zmienić nawet czarodziejska ręka Liszta, bo winą tego jest budowa, słabe struny, słaby rezonans. Natomiast nie ochronią nas najwyborniejsze skrzypce Amati'ego lub Stradivaria od rozdzierających ucho dźwięków, jeżeli niewprawna ręka smykiem po strunach ciągnie.

Są także instrumenta, które chociażby były dobrze zbudowane i kierowane, same z charakteru swego nieprzyjemnie ucho rażą. Przysłuchajmy się melodyi walca Straussowego na samym granego kontrabasie; głuchy jego mruk i szmer wydawać się nam będzie prawdziwie komicznym. Nad dźwiękami kontrafagotu zapewne także nikt unosić się nie będzie. Niektóre instrumenta przyjemne są w pewnych tylko regionach tonu. Najwyższe tony w klarynecie przeszywają serce i ucho, jak płacz rozpaczliwy dręczonego dziecka. A cóż dopiero mały i wielki bęben! Ciała te nie wydają wcale tonów i dźwięków lecz tylko głosy i szelest. W następném wszakże okaże się, że i podobne głosy w pewnych warunkach z innemi dźwiękami połączone, uszlachetnione być mogą.

Jeżeli tedy przyznamy, że najpierwszym warunkiem muzyki jest zabawienie ucha, z tego więc wynika, że nie dysharmonia lecz harmonia ma być główną jéj zasadą. Zasada ta, zkąd inąd zupełnie naturalna, nie przez jednego artystę pojętą nie jest.

Czyż ucho n. p. może znaleźć przyjemność w drzącym głosie starego mężczyzny lub niewiasty? A mimo to stara się wielu śpiewaków i śpiewaczek, by melodye swe wygłosić drzącym głosem (tremolando). I na skrzypcach, na wiolonczeli nie umieją niektórzy artyści wytrzymać tonu. Ręka ich, jak u starców, drga umyślnie by ton wibrował.

A wiecie, w czém przyczyna tego leży?

Oto przed wielu laty, jeden z sławniejszych śpiewaków, pomimo starości niechciał przestać śpiewać. Głos jego naturalnie drzeć musiał, chociaż w młodym wieku był on prawdziwie wielkim artystą.

Drżenie to starca naśladował ktoś bez talentu, sądząc się być tém, czém był tamten. Jeden nierozsądny stwarza dziesięciu innych. Druga przyczyna tego nieprzyjemnego sposobu wygłaszania jest sama przez się rozsądna. Uczucie bolesne może przez krótkie drzenie głosu prawdziwie i skutecznie być wyrażone. Ztąd wnoszą niektórzy, że co raz robi wrażenie, robić je powinno zawsze, i że im więcéj się drży, tém wrażenie większe!

Czego ucho żąda po śpiewakach i wirtuozach, tego żąda także po wszystkich dźwiękach orkiestrowych, t. j. żąda zupełnej harmonii. A teraz zapytajmy się, czy nie częściej słyszymy na koncertach, operach i t. p. w miejscu harmonii głuchy tylko szelest.

Śpiewając lub trąbiąc, można ton bez przerwy dopóty wytrzymać, dopóki oddech na to zezwala. Na instrumentach smyczkowych dopokąd się chce. Natomiast można go podać i krótko zupełnie. A między obu najskrajniejszemi przypadkami leżą wszystkie stopnie długości i krótkości. Rozmaite te sposoby ukazywania się tonów mieszczą w sobie ich znaczenie.

Wziąwszy laskę i przerznąwszy ją w półowie otrzymamy dwie równe połowy; podzieliwszy te półowy znowu, otrzymamy ćwiartki, przez dalszy równy sposób ósemki itd.

Prócz tego podziału na coraz drobniejsze równe połowy, można laskę podzielić także na wielką liczbę nierównych części, n. p. na dwie, z których jedna stanowi tylko ćwiartkę, druga trzy ćwiercie, lub na połówki, a dwie ćwiartki, lub na połówkę, ćwiartkę i dwie ósemki. Jeżeli teraz zamiast laski, przedstawimy sobie ton pewnéj długości jako cały ton, a następnie że jak laska przez przekrajanie, tak ton przez przestawania może być podzielony na coraz mniejsze równe połówki, ćwiartki, ósemki (nuty) i tak samo na wszystkie możliwe nierówne części, natenczas jasnem nam zapewne będzie zupełne pojęcie znaczenia, to jest, rozmaite trwanie czasowe tonów i nót. Są jednak wypadki, w ktorych tak głos jak i instrument milczeć muszą. Dla tego téż istnieją na każdą przerwę czasową tonu niewygłoszonego znaki milczenia (pauzy), całe, pół, ćwiartki, ósemki i t. d.

Chcąc rozmaitą długość i krótkość następujących po sobie tonów dobrze zrozumieć, trzeba zaprowadzić porządek. Dla zadość uczynienia potrzebie rozumu ludzkiego, czyli dla zadosyć uczynienia potrzebie porządku, poszukał i znalazł muzykalny duch artystyczny rozmaite sposoby i przyjął je jako stałe, niewzruszone prawidła. Pierwszy z nich nazywa się takt.

Takt dzieli rozmaite znaczenie tonów na małe, równe granice czasowe. Najjaśniéj widzimy to przy tańcu. Gdy się n. p. w walcu obraca para tańcząca, to podczas jednego obotu robi trzy kroki. Jest to jeden takt czyli figura tańca w pewnym obrębie czasu. Takt ten pierwszy jest miarą dla wszystkich taktów tegoż tańca. Każdy następny obrót z trzema jego krokami wykonuje się dokładnie w tymże samym czasie t. j. wedle tegoż taktowego porządku. Podczas kiedy pary tańczące robią trzy swe kroki na dole w sali przy każdym obrocie w równy zupełnie sposób, słyszymy na górze w granéj melodyi najrozmaitsze figury tonów, znaczenie nót. W jednym takcie wytrzymuje się jeden tylko ton, w drugim ukazuje się ich sześć, w trzecim dwa, w czwartym ośm i t. d. Im mniej tonów ukazuje się w takcie, tém wolniéj, im więcéj, tém szybcéj tony idą, ale tak, że w jednym takcie razem ani mniéj ani więcéj nie zajmują czasu jak przyjęta modła taktu lub miara taktu.

Środkiem drugim, za pomocą którego porządkują się rozmaite znaczenia tonowe, jest przycisk, akcent, (akcentowanie pewnych tonów przed innemi). Uważając z zamkniętemi oczami na drgania (wibracye) dobrze odmierzonego wahadła u zegarka ściennego, można liczyć do stu i dalej, nie usłyszawszy żadnego tonu szczególniejszego, żadnego akcentu, coby zmuszał do podziałów. W naturze leży, że chętnie wyobraża sobie każdy małe podziały regularne, a skoro takowe przyjęte zostaną, łatwo policzyć wedle tejże miary cały szereg wibracyi. Akcentu nie słychać, gdyż odzywa się on wewnątrz, w uczuciu. W ten sposób działa muzyka jeżeli wszystkie tony w takcie, w równéj zupełnie sile przebrzmiewają. Akcent taki można nazwać wewnętrznym akcentem. Zewnętrznym jest ten, który słyszeć się daje, który przez mocniejszy rzeczywiście nacisk przedstawiony bywa, jak to n. p. widzimy gdy rekruta uczą maszerować i podoficer oznacza zwykle kroki przez raz, dwa, raz, dwa.

Trzecim środkiem porządku jest tempo. Przypuśćmy, że towarzystwo zebrane chce tańczyć. Kładną walca Straussa na pulpit, a jeden z towarzystwa, co zna się na muzyce, gra go. Młodzież ochoczo i zwinnie obraca się. Lecz starsza para pozostaje za innemi. „To mi za prędko!“ mówi zgrzybiały tancerz, „temu stare moje nogi sprostać już nie mogą. Grajcie wolniéj.“ Wolniejsze lub prędsze granie tychże samych nut w tym samym rodzaju taktu nazywa się tempo (miara czasu).

W muzyce jest wiele specyalnych nazw dla wolniejszych lub prędszych stopni tempa, które n. p. jak „Adagio“ (wolno), „Alegro“ (wesoło, żywo), „Vivace“ (żywo), „Presto“ (szybko i prędko) i t. d., kładą się po nad rodzajem taktu.

Nazwy te same przez się nie są ścisłemi, bo wolno, żywo, szybko, prędko i t. d. są wyobrażeniami chwiejnemi. Dla tego u muzyków utrzymuje się przy nauce ustna tradycya czyli pewne porozumienie, które stoi na straży przeciw grubym co do tempa błędom. Mimo to, nazwy te i tradycye zawsze są czémś niepewném, gdyż nierzadko się zdarza, że dyrygent złego używa tempa, co ma oznaczać, że adagio lub allegro i t. d. podał za prędko lub za

wolno, a tém samém ubliżył charakterowi pewnego dzieła muzycznego. Dla ścisłego zupełnie oznaczenia miary czasu wynalazł znany mechanik „metronom“ czyli miernik czasu, podający tempo za pomocą wibracyi wahadła.

Z tego cośmy wyżéj powiedzieli, łatwo wyobrazić sobie można, jak uciążliwym i długoletnim poddać się musi ćwiczeniom każdy muzyk, chcący rozmaite znaczenia tonu, jakie w jednym rodzaju taktu zdarzyć się mogą, od jednéj nuty począwszy aż do stu dwudziestu ósmiu może, w odnośnéj ich powolności lub prędkości wedle tempo tak zawsze obliczyć dokładnie i odmierzyć, aby nigdy żaden ton nawet o jedną setną sekundy ani za rychło ani za późno się nie pojawił.

Niech się jednak żaden muzyk z tego nie chlubi, bo inaczéj przypomnę mu tak zwaną muzykę rosyjską na dętych instrumentach! Wyobraźmy sobie czterdzieści wązkich i różnéj długości rur, podobnych do rur w organach. Przed otworem każdéj stoi prosty rosyjski — chłop. Na znak dany przez dyrygenta, ludzie ci wykonywają uwerturę Mozarta „Wesele Figara“, harmonijnie i z taką dokładnością w takcie i tempie, że ze zdumienia i zachwycenia publiczność wyjść nie może. Bo proszę nie zapominać że każdy jeden tylko ton wydać może! Wtenczas tylko, gdy ton ten jeden dla odnośnego człowieka nadchodzi, zniża się do otworu swéj piszczałki, by z niéj głos wydobyć. Niesłychanéj uwagi i zręczności potrzeba, by każdy z grających ton swój uchwycił w locie i wygłosił już to krótko, już to długo, raz jeden szybko po sobie, inny po długiém dopiero pauzowaniu, a zawsze w najściślejszym takcie i tempie i zawsze na odpowiedniém miejscu taktu t. j. raz na początku, inny raz w środku lub na jego końcu! I jakimże to środkiem dochodzi się do tego ideału gry wspólnéj? Przy ćwiczeniach — jak mówią — stoi za każdym człowiekiem inny już wyćwiczony Rosyanin z — knutem. Gdy ton ucznia nadchodzi, a ten omija go lub nie chwyci dokładnie, uderza go knutem i to zawsze z tego samego tonu, z ff!

Takt, akcent i tempo oznaczają się ogólném mianem rytm.

Wrodzony nam lub wedle innych nałogowy zmysł porządku doprowadza nas do tego porządku. To, w czém nie ma porządku, w świecie duchowym czy materyalnym, w przestrzeni czy w czasie, nie podoba się nam.

Gdy przy walcu spostrzegamy parę, nie umiejącą zastósować się regularnie do taktu i tempa, obrót swój już to rychléj już to późniéj od taktu kończącą, gdy para ta wybiega z regularnego koła tancerzy i uwija się po sali jak błędny ognik, śmiejemy się z niéj kiedy w dobrym jesteśmy humorze, gniewamy, kiedy w złym. Bądź co bądź, taniec ten nazywamy niezgrabnym, myśląc przy tém: para ta tańczyć nie powinna.

Słysząc grających lub śpiewających jak owa niezręczna para tancerzy, mówimy: „Nie podobna, aby to był artysta.“

Śmiesznem jest, że niesmaczny ten sposób wykonywania uważają niektórzy za szczególnie artystyczny!

Natura afektu bowiem może zdoła czasem usprawiedliwić tak zwane tempo rubato (porwana miara czasu), ponieważ przez to potęguje się prawda wyrazu. Ci tedy, co uważają podobne wrażenie lecz nie pojęli przyczyny jego, mniemają, że im częściéj to się dzieje, tém czulszém musi się stać wygłoszenie. Nieznający muzyki niech dają oklaski! Znawcy, do których i czytelnicy już obecnie należą, wyśmieją tych mniemanych artystów.

(C. d. n.)

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Żałość jakaś ogarnęła duszę moją bo od téj chwili nie miałem Kazimierza za człowieka niespełnego rozumu, ale pojąłem to że nie jest zrozumianym i ocenionym we własnéj rodzinie. Co więcéj; trzeci wiersz tego czterowiersza był dla mnie wskazówką jak się na świat zapatruje jako Polak, zapytałem tedy:

„Cóż się z Kaziem działo w czasie ostatniéj wojny, czy służył w wojsku polskiem?“

Stary górnik rzucił znowu ręką. „Gdzie zaś tam panie, nie służył i podobno dla tego niema błogosławieństwa Bożego, bo się tam przecież ludzkie dzieci w téj wojnie zastawiali o najświętsze sprawy kościoła i o polską naszą ojczyznę, ale niczego Wielmożny Panie nie zrozumiesz, jeżeli nie opowiem z początku.

„Kiedy od was ze Lwowa powrócił, wyrósł pięknie, był rumiany, zdrów i prosty jak świeca, znać było że się wytarł między szlacheckimi dziećmi, bo był grzecznym i miłym dla każdego, a zmądrzał téż i miał mówić o czém. Serce nam obojgu rosło a ludzie, to zazdrościli nam, to winszowali takiego syna, bo był jak mówię i dorodny i mądry i wstrzemięźliwy w gościnie, w trunku i w mowie. Kiedy powrócił obszedł z kolei wszystką starszyznę w Wieliczce, był porządnie odziany i wzięty, proszono go na obiady i wieczorki i mógłby wziąść najposażniejszą pannę w Wieliczce. Porobił nawet z szlachtą okoliczną znajomości i nieraz tu stawał powóz możnego dziedzica przed naszym dworkiem i panowie zabierali z sobą Kazia w gościnę. Choć był jeszcze młodym, mówili mi ludzie: trzeba go ożenić i radziliśmy o tém z matką ale ja chciałem żeby się zapisał do górniczego cechu i tak poczciwie na chléb pracować począł jak od wieków ojcowie nasi pracowali w Wieliczce.

„Lecz ani weź, Wielmożny Panie! — był bo był; znosił się z ludźmi bo znosił, — mówił pięknie bo mówił; ale ociągał się czegoś i nie chciał ani nam ani ludziom powie-

dzieć ostatniego słowa. Co tam wówczas w myśli nosił nie wiem, ale wiem co się stało... Jest tu u nas w Wieliczce poczciwa rodzina, był i jest majątek i była jedynaczka córka. Moja, co nie miała nigdy córki kochała ją od pieluch jak własne dziecię, bo była jéj chrzestną. Kiedy to dziecię rosło i wyrosło, podbiegało tu zawsze do nas na podwórko, a ile razy podbiegło, to zawsze z poczciwym słowem i z wielkim kochaniem; a czy jabłko, czy gruszkę, czy kukiełkę przyniosło, to zawsze nam obojgu składała na kolana oddając uczciwość.

„Serce mi płakało nieraz na widok tego dziecka i kiedym po robocie zasiadł tu w tym stołku, brałem ją na ręce i kolana a wielką pociechą było dla nas to dziecię sąsiadów naszych. Bardzośmy się ucieszyli oboje, kiedy Kazio wróciwszy ze Lwowa poczuł do niéj wolę Bożą. Moja mówiła: toć przecie będę miała pociechę i pomoc na starość i będzie komu oddać i piękne korale i gdańskie bursztyny i te sreberka co jeszcze po matce wzięłam i staranie około téj lampy co się przed Matką Bożą świeci.

Wszystko się składało bardzo szczęśliwie. Anusia była roboczą i w miłości nam oddaną, a Kazio przesiadywał przy niéj po dniach całych. Ożenić, ożenić — mówili ludzie, to się on potém weźmie do pracy, a jest na czém pracować, bo Anusia w domu jedynaczką a i wy tam przecież nie odmówicie mu swojéj łaski i pomocy.“

„W tém zrobiła się wojna w Polsce, przepędzili Moskala z Warszawy i niedługo trwało a i Kraków tak dobrze jak na siebie odebrali Polacy. Wielka była pociecha i ochota w narodzie. My Wieliczanie patrzymy zawsze na Kraków, boć to panie królewskie żupy i sól polska, a rodziny nasze chodzą około tego królewskiego mienia od wieków, więc mówiliśmy tu sobie, że to wszystko obejmie znowu królewszczyzna jak swoje, jak się tam Polacy trochę z Moskalem upierają, bo jak to mówią, czyja krowa tego cielę. Na tę wiadomość, że rewolucya w Warszawie, poczęli się z sobą znosić i starsi i młodsi. Nasz Kazimierz ledwo nie oszalał z radości, a panowie i szlachta z ochotą poczęli do niego pisać listy i przysyłać bryczki po niego. No wiadomo panie, kiedy sprawa to i rada, a kiedy Polakom o ojczyznę chodzi, to nie bardzo wolno komu siedzieć za piecem. Nasi panowie na zarobku wielickim potrwożyli się, boć to panie dobrze dojna krowa ta Wieliczka. Ja odrobiłem z wielkiego bałwana oczkowéj soli — czysto — Krakusa z kosą, a tak mi się udał, że sam z pociechą serca patrzałem na niego. Trzymałem wówczas konika i wziąwszy żonę z sobą pojechałem do Krakowa, a kiedym mojego Krakusa przed sukiennicami na straganie postawił, zbiegło się pół miasta. Nie mógłem się opędzić narodowi, każdy chciał mieć Krakusa i licytowano go i każdy dawał coraz więcéj i nie wiedziałem co robić. Jeden ze znanych kupców przecisnął się przez natłok i powiada mi:

„Nie przedawaj, daj go do mnie za okno, a ja sto takich Krakusów zamawiam i daję tu zadatek.“

Wtedy płacono jeszcze w Krakowie wszystko złotem i srebrem, wcisnął mi trzy dukaty w rękę i porwał Krakusa.

Wskoczyłem na stragan i powiadam:

„Wielicki Krakus z soli, ale z Krakowa potrzeba żeby wyszło choć z tysiąc żywych Krakusów.“

Bardzo to się podobało narodowi, chwalili górników wielickich co z Rzecząpospolitą trzymają, a i mnie i żonę zaproszono na śniadanie i wino, a dwóch akademików zajechało przed handel naszym wózkiem i pilnowali i konia i wózka.

Kiedyśmy nareszcie ruszyli z Rynku krakowskiego miałem dobrze w głowie, ale nie straciłem rozumu. Tedy powiedziała mi żona:

„Czy ty to sobie myślisz wziąść trzy dukaty za tego Krakusa? boję się tego jakoś, czy to nie grzech brać taki grosz dla siebie?“

Prawda, pomyślałem sobie, i na Kazimierzu zajechałem przed klasztor św. Katarzyny. My górnicy mamy tam wielkie nabożeństwo do cudownego Pana Jezusa w krużgankach u św. Katarzyny. Opowiedziałem tedy księdzu Przeorowi wszystko i dałem dukata na tę intencyą, aby Bóg poszczęścił Polakom, na światło do Pana Jezusa. Pochwalił mnie ks. Przeor, poczęstował jeszcze winem, dał matce piękny obrazek z modlitewką do Pana Jezusa i późno już w nocy stanęliśmy w domu.

(C. d. n.)

POMNIK KAZIMIERZA WIELKIEGO W BOCHNI.

(Z ryciną.)

Dzień 29 Maja 1871 roku, na zawsze zapisany zostanie w kronice miasta Bochni. W dniu tym bowiem, na rynku jego, odsłonięto pomnik jednego z najlepszych monarchów naszych, Kazimierza Wielkiego.

Obszerną biografię tego króla-prawodawcy narodu naszego, podaliśmy w roczniku pierwszym „Sobótki“ — mówiąc o uroczystości odkrycia szczątków królewskich Kazimierza Wielkiego i o przełożeniu prochów jego do odnowionego, ze składek ogólnych grobowca. Do téj więc biografii, odsyłamy czytelników, a tu jedynie zaznaczymy w krótkich wyrazach, niemniejszéj doniosłości narodowéj, uroczystość, odsłonięcia pomnika królewskiego.

Przypomną sobie czytelnicy rozpisywane w różnych dziennikach krajowych, wkrótce po owém cudownem rzec można, odnalezieniu prochów Kazimierza W., składki na pomnik dla tego monarchy, który miał stanąć w Krakowie. Ofiary posypały się hojnie, kwota znaczna zebraną już została, i... rzecz cała poszła w zapomnienienie. Szemrano pokątnie na to niedbalstwo w sprawie publicznéj, odzywały się pojedyńcze głosy, ale słabo i niewyraźnie — słowem, brakło energii do zbiorowego wystąpienie i zażądania rachunku z publicznego grosza, od tych, na ręce których szły dobrowolne datki i ofiary...

Rzecz całą zostawiono w zawieszeniu.

Gdy tak, Kraków który w łonie swojem mieści grobowce wszystkich niemal królów naszych, obojętnem milczeniem pokrywał niedbalstwo swoje — mała, z górniczych osad złożona mieścina Bochnia, żywą protestacyą upomniała się o cześć swojego króla i o honor narodowy. Nie radzono tam wiele, ale żywo i energicznie postawiono projekt wzniesienia pomnika dla Kazimierza W. i zaraz myśl szlachetną w czyn wcielono.

Inicyatywa, należy się zacnemu burmistrzowi bocheńskiemu p. Niwickiemu, który energicznie jął się zbierania składek i wykonania projektu. Jakoż w rok niespełna, mieszkańcy Bochni i okolic wezwani zostali na niezwykłą uroczystość.

W drugi dzień Zielonych Świątek, po odbytem nabożeństwie przy odgłosie kapeli górniczéj i wśród bicia z moździerzów, grono obywateli, deputacye różnych stowarzyszeń, reprezentańci krajowi, mieszczanie i kmiecie okoliczni, udali się na rynek miasta, gdzie pod zasłoną stał drogi sercu naszemu pomnik Wielkiego Króla.

Za danym znakiem, zasłona opadła i oczom widzów ukazała się postać królewska, więcéj jak naturalnéj wielkości, w koronie i płaszczu monarszym, z księgą statutu wiślickiego w lewéj ręce, prawicą wskazująca na księgę.

Rozrzewniająca była chwila.

Długie milczenie panowało wśród zgromadzenia, dozwalając wewnętrznego skupienia ducha, który w téj chwili przebiegł całą przestrzeń dzielącą go od szczęśliwszéj przeszłości; — przerwał je p. Hoszard poseł bocheński, wskazując ważność chwili i doniosłość narodowego pomnika. Poczém płynęły inne mowy, jak p. Habury profesora gimnazyum bocheńskiego, p. Chmurskiego i Bobrzyckiego delegata młodzieży akademickiéj, który jéj imieniu serdecznie do zgromadzonych przemówił. Uroczystość zakończyła się uroczystymi śpiewami.

Postument królewski 7 stóp wysoki, spoczywa na piedestale 10 stóp wysokości mającym, — rzeźby zdobią piedestał z dwóch bocznych stron, frontowa nosi napis z chlubnym dla monarchy, króla chłopków przydomkiem złączony. Pomnik wyszedł z pracowni p. Walerego Gadomskiego zaszczytnie w kraju znanego artysty rzeźbiarza.

W. B-a.

Szarada.

Pierwsze głoska, drugie gani, trzécie milczeć zmusza,
Kto zaś wszystek ma w kieszeni, śpiewa Tadeusza.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 25: ***Polityka.***)

Korespondencye Redakcyi.

Mme F. B. H. w S. Za przesyłkę serdecznie dziękujemy. Szarady zamieścimy ale dopiero po kilku tygodniach, gdyż w téj chwili mamy jeszcze ich zapas. — Dr. K. w Inowrocławiu: Żądany numer wysłaliśmy. Na pracę przyobiecaną oczekujemy niecierpliwie — gdyż później niebyłaby ona na czasie. — Panu L. W. w Tarnowie: Przypiski i listy Odyńca, objaśniające i prostujące niektóre omyłki we Wspomnieniach Ewuni, w jednym z przyszłych numerów zamieścimy. Upoważnienie na druk Wspomnień Ewuni, otrzymaliśmy od p. K. Wł. Wojcickiego. Listy o których pan wspominasz, byłyby bardzo pożądane. Czekamy na nie! — Panu Wołodemu Skibie w Krakowie: Przypominamy się i o pośpiech prosimy. List i przesyłka musiały już dojść rąk jego.

Od Redakcyi Sobótki.

PODRĘCZNA
ENCYKLOPEDYA POWSZECHNA

w dwóch wielkich tomach z atlasem.

Jako premium dla prenumeratorów Sobótki.

Dążeniem naszego wieku jest popularyzacya wiedzy, a jednym ze środków ku temu — są Encyklopedye, przedstawiające zupełny i wszechstronny obraz wiadomości ludzkich. Ale kiedy zazwyczaj zbiorowe te dzieła starają się traktować naukę najobszerniéj, my bierzemy sobie za cel naszego zadania dać także ile można najwięcéj — ale krótko i treściwie.

Wszakże nie każdy i nie zawsze może i chce szperać w wielutomowych dziełach, odczytywać kilkunasto-stronnicowe artykuły, dla znalezienia jakiéj pobieżnéj wiadomości, jakiegoś nazwiska, pojęcia, obcego wyrazu, wypadku, daty, cyfry, lub mniéj znaczącego faktu, już to przy czytaniu pism peryodycznych, książek, już w czasie potocznéj rozmowy, dla poparcia poglądów, pism i t. p. — zgoła dla dopomożenia natychmiast pamięci, lub zapełnienia przerwy skutkiem czasu zrządzonéj. Treściwy dykcyonarz encyklopedyczny, niewielki objętością, na jednéj kartce, na pierwszy rzut oka dostarczający nam żądanéj wiadomości, krótko ale pewnie zebranéj — może w takim razie i w tysiącznych innych wypadkach, wyświadczyć prawdziwą przysługę i okazać się użytecznym.

Lecz Encyklopedyi takiéj brakuje dotąd naszemu piśmiennictwu i niedostatkowi temu pragniemy zaradzić.

W tym celu wykonany nasz Dykcyonarz encyklopedyczny — ową w skróceniu wiedzę ludzką — podajemy Czytelnikom, aby na rzut oka wszystko znaleźć i we wszystkiem objaśnić się mogli.

Dwa tomy w 8vo dużego formatu, około 120 arkuszy obejmujące ścisłego druku, zajmujące mało miejsca na każdym stoliczku obok kałamarza, zdołają każde żądanie zaspokoić, objaśnić, na każde zasadnicze pytanie odpowiedzieć, wątpliwość rozwiązać, każdy spór rozstrzygnąć i we wszelkiéj potrzebie usłużyć. Dzieło to postaramy się tak wykonać, aby w każdym domu stało się nieodzownie potrzebniejszém, niż wszelka inna książka.

Aby tego dopiąć, podręczna Encyklopedya powszechna oprócz ogólnéj wiedzy, zawierać będzie artykuły dotyczące n. p. ziemioznawstwa, opisu krajów, historyi ludów, ich literatury, sztuk, zamożności, stosunków wzajemnych, urządzeń społecznych, zgoła wszystko co tylko może służyć za przewodnika, co ułatwi kierowanie się, oraz wynalezienie na prędce żądanéj wiadomości.

Robiemy tu jeszcze uwagę, że żaden przedmiot nie jest w tym podręczniku pominięty, wszystko co się dotyczy wiedzy ludzkiéj będzie tam zamieszczone. Artykuły z nauk przyrodniczych jak można najobszerniéj będą traktowane, zwłaszcza ile te ogólne zastósowanie znalazły n. p. w handlu, rękodziełach, rólnictwie i naukach ścisłych. Ze szczególną troskliwością opracowane są życiorysy, historya, ziemioznawstwo (geografia) i państwowy stan krajów. Z techniki i rzemiosł, objaśniono wszystkie szczegóły według popularnéj terminologii, wyrazy z obcych narzeczy wzięte również zostały wytłómaczone, wraz ze sposobem jak się powinny wymawiać.

Kreśląc tak śmiały program, aby niewydał się przesądą, wyjaśniamy, iż za materyał posłużyło nam podobne dzieło w języku niemieckim obecnie wychodzące p. t. „Meyers Hand-Lexikon des allgemeinen Wissens“, tudzież Bouilleta obie podręczne encyklopedye, prócz mnóstwa zbiorów i dzieł specyalnych. Naturalnie, iż najobszerniéj traktowane będą przedmiota polskie i słowiańskie, ku czemu wytężymy wszelkie usiłowania i ku czemu współdziałanie wielu literatów polskich mamy przyrzeczone.

Dla dokładniejszego zrozumienia wielu przedmiotów, niż to mogą dać choćby najobszerniejsze opisy, służyć będą drzeworyty i tablice, a zwłaszcza mapy, które do naszego dzieła dołączymy, a mianowicie:

1. Karta nieba na półkuli północnéj.
2. System planetarny.
3. Geologiczne przecięcie ziemi (idealne).
4. Karta klimatologiczna ziemi (temperatura, deszcze, wiatry, przypływ morza etc.)
5. Karta pasów kruszcowych na ziemi.
6. Karta stref roślinnych.
7. Karta rozłożenia pożytecznych i szkodliwych zwierząt.
8. Karta pasów urodzajnéj ziemi.
9. Karta zaludnienia.
10. Karta zaludnienia według ras.
11. Karta mieszkańców ziemi według języków.
12. Karta mieszkańców ziemi według wyznań.

Ażeby dołączenie kart dotyczących geografii politycznéj i historycznéj było możliwém, potrzeba tylko szczerego współudziału publiczności.

Nadto w samym tekscie pomieszczone zostaną illustracye, objaśniające: Anatomią, Technologią i wiele innych nauk. Wszystkie mapy, karty i drzeworyty wykonane są starannie, aby służyły do istotnego użytku.

Dzieło to tak ważne i użyteczne, postanawiamy ofiarować jako premium wszystkim stałym abonentom Sobótki od 1. Lipca 1871 r. po cenie **tylko 5 talarów za exemplarz z atlasem**, nie abonujący Sobótkę zapłacą za komplet bez atlasu 7 tal. 15 sgr.

Odwołujemy się więc do ludzi oświeconych i do szukających oświaty, odwołujemy się i do mężczyzn i do niewiast z prośbą o rozpowszechnienie wiadomości o naszém wydawnictwie i jego warunkach. Spieszmy pokazać Czytelnicy, że solidarność w uczciwych i ogół obchodzących sprawach istnieje u nas jeszcze!

Encyklopedya jako dodatek do Sobótki, wychodzić zacznie od 1 Października roku bieżącego i przesyłaną będzie prenumeratorom w zeszytach co miesiąc, za opłatą 18 sgr. co kwartał. Prenumerata na całość z atlasem z 120 arkuszy złożoną wynosi 5 tal. Za każdy zeszyt miesięczny z przesyłką 6 sgr. przesyłając najmniéj na 3 zeszyty z odnowieniem prenumeraty przed wydaniem każdego trzeciego zeszytu.

W Warszawie Adam Wiślicki.

W Poznaniu, M. Leitgeber i Sp.

Wydawnictwo Sobótki.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).